

MDM

— monogram współczesnej Warszawy

Stanisław Jankowski

Inż. arch. kierownik pracowni MDM

Kierownik pracowni Marszałkowskiej, Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM) inż. arch. Stanisław Jankowski zamieścił w „Problemach” nr 7 artykuł poświęcony zabudowie tej dzielnicy Warszawy, której kluczowy odcinek oddany zostanie społeczeństwu dnia 22 lipca 1952 r. Z artykułu tego dajemy następujący, najistotniejszy fragment.

Red.

O powstaniu MDM, Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, wnoszącej nową treść do śródmieścia, zdecydował osobiście Prezydent Bolesław Bierut. Już w czerwcu 1949 r. zwiedzając Trasę W—Z mówił: „Niesposób zwlekać dłużej z odbudową śródmieścia, Marszałkowskiej. Dopiero odbudowa Marszałkowskiej da ludności Warszawy poczucie odbudowanej stolicy. Trasa W—Z pokazała, że potrafimy podołać i temu zadaniu. Warto by pomyśleć o wprowadzeniu mieszkań na Marszałkowską, zwłaszcza na odcinku na południe od Alei Jerozolimskich.”

Wkrótce potem na konferencji warszawskiej PZPR 3 lipca 1949 roku padła z ust Prezydenta historyczna decyzja: „Pod robotnicze osiedle mieszkaniowe zostaną oddane tereny, które dawniej były dostępne jedynie dla zamężnej ludności Warszawy, mieszkania robotnicze wejdą do śródmieścia wzdłuż trasy W—Z i ulicy Marszałkowskiej”. I w tym samym referacie wyraźne zalecenie dla nas urbanistów i architektów o „konieczności powiązania budownictwa mieszkaniowego z wielkimi założeniami architektoniczno-urbanistycznymi, realizowanymi w centrum miasta”.

Próbą rozwiązania tak postawionych zadań jest właśnie Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa.

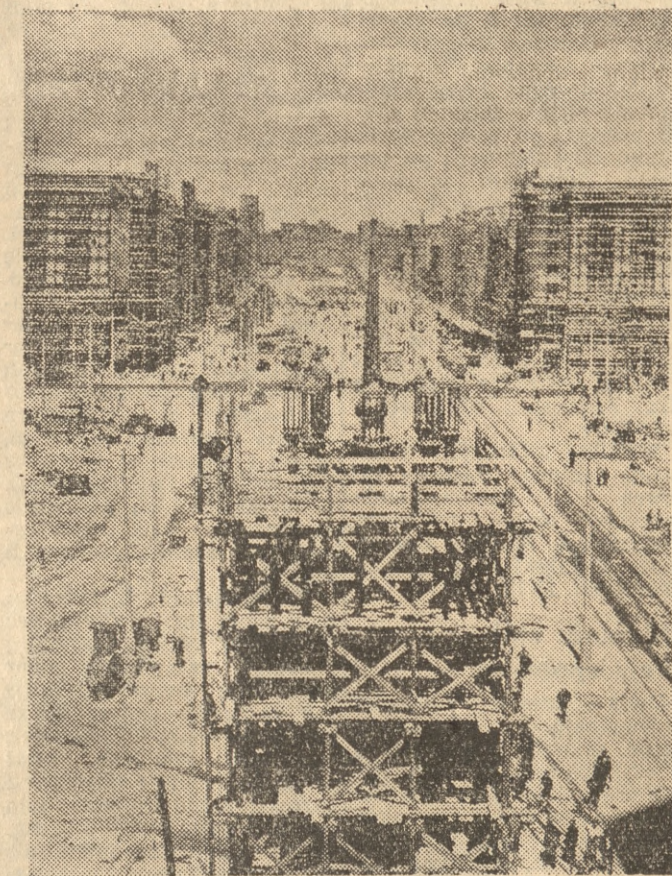
W krótkim czasie MDM stała się „gwóździem” 6-letniego planu odbudowy Warszawy. W okresie 5 miesięcy z projektu, opracowanego przez dawną pracownię Trasy W—Z, MDM stała się jednym z najpopularniejszych w Warszawie „monogramów”, jak mówi Włech. Zadecydował o tym zarówno niezwykle eksponowany charakter tej dzielnicy, jak i skala tej inwestycji. To już nie Trasa W—Z i Mariensztat, które budowano w wymarłej dzielnicy ruin, gdzie warszawiacy przychodzili głównie w niedzielę „z wizytą”. Przychodzili z biegiem postępu robót coraz częściej, coraz tłumnie, swym zainteresowaniem pomagali wykonawcom, ale bądź co bądź tylko ich odwiedzali. Tu na Marszałkowskiej wielka budowa odbywała się w najbardziej ruchliwej części miasta, na oczach całej Warszawy, a ostatnio przy jej wybitnej pomocy. Tu warszawiacy są na codzień, mieszkają, pracują i kupują.

Warto jednak zdać sobie sprawę, że MDM to istotnie

realizacja w znaczeniu przemysłowym dla odbudowy Warszawy. Złożyło się na to kilka przyczyn.

Po pierwsze: MDM to nowo projektowany, wielki układ urbanistyczny, wywołujący się całkowicie z nowego planu Warszawy. To już nie odbudowa Nowego Świata czy Krakowskiego Przedmieścia, to pierwszy odcinek wielkiej nowej kompozycji — Centrum Warszawy.

Po drugie: MDM to nowa pozycja w budownictwie mieszkaniowym: to nie śródmiejskie osiedle, lepiej czy gorzej osadzone w mieście, lecz część miasta, w której mieszkają ludzie. Po trzecie: MDM to obiekt programowania i planowania ekonomiczno-technicznego w skali dotąd w Warszawie nie spotykanej. Na marginesie warto nadmienić, że nakłady finansowe na MDM przewyższają sześciokrotnie niemal nakłady na Trasę W—Z z mostem, tunelem i Osiedlem Mariensztat.



CAF — fot. Nowosielski

Fragment prac przy budowie placu MDM

Po czwarte: MDM to konsekwentny etap w poszukiwaniu dróg dla nowej, socjalistycznej architektury. Właśnie ta dzielnica z gruntu nowa, a jednocześnie znajdująca się w bezpośrednim zasięgu historycznym i układów i tradycyjnych form, powinna przynieść nowe rozwiązania, odpowiadające nowej skali miasta i nowym potrzebom ludności.

Mówiąc po prostu: chodzi o to, żeby się podobała, żeby była naprawdę ładna. To, że program MDM będzie dobry, że zaspokoi potrzeby ludności, jest rzeczą niejako naturalną i interesującą tylko mieszkańców MDM. Ale zagadnienie wyglądu budynków, ulic, placów i zieleni — to sprawa publiczna, podlegająca najszerzej dyskusji,

to główny sens wychowawczy MDM.

Wreszcie po piąte: MDM to pole doświadczalne dla wieloletniego budownictwa mieszkaniowego, zmechanizowanego i wzorowo zorganizowanego. MDM jest budową wielką i jednocześnie budową skomplikowaną. Na Mokotowie zrodziły się „szybkościowce”, na Muranowie powstało budownictwo potokowe, MDM stwarza nowe formy masowego budownictwa wielkomiejskiego.

Jaki jest program tej dzielnicy?

Już sama nazwa określa go w znacznej mierze. Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa — ale nie tylko mieszkaniowa.

Śródmiejskie położenie tej dzielnicy narzuca jej jeszcze dwie dodatkowe funkcje: ośrodka wzorowego wielkomiejskiego handlu i żywienia zbiorowego oraz ośrodka kulturalno-rozrywkowego, w dzisiejszym wychowawczym rozumieniu tego słowa.

bie wielkie, trudne zadanie, do którego od 2 lat dąży uparcie cała 5-tysięczna załoga MDM, wszyscy projektanci i wykonawcy, wielkie zadanie, na wykonanie którego czeka cała Warszawa, cała Polska.

Dnia 22 lipca 1952 zostanie ukończona budowa kluczowego odcinka MDM, wielkiego północnego placu.

Dnia 22 lipca 1952 przez plac MDM przejdą setki tysięcy ludzi, by w radosnym dniu święta narodowego odebrać meldunek załogi MDM, wypisany żelbetem i kamieniem w nowym śródmieściu Warszawy, wypisany tysiącami nowych izb mieszkalnych, dziesiątkami nowych wielkich sklepów.

DWA POKOLENIA

Albin Wietrzykowski

W czasie, kiedy każdy dzień przynosi nam nową falę radosnych meldunków ze wszystkich stron kraju o przedterminowym wykonaniu przez młodzież polskich zobowiązań zlotowych i o podejmowaniu dodatkowych zobowiązań produkcyjnych, kiedy ta sama młodzież w ramach czynów społecznych buduje nowe drogi, mosty, boiska, zbiera odpadki użytkowe itd., kiedy wreszcie ten twórczy entuzjazm młodego pokolenia nie tylko zdumiewa starszych, ale pociąga do czynów, warto przypomnieć rozpaczyliwy los przedwojennej młodzieży.

Wprawdzie na akademiach, galówkach sanacyjnych młodym aż zbyt często kazano deklamować: „Młodzieży, ty nad polski wylatuj!”... co kiedyś w zętności ze smutną rzeczywistością piękna inwokacja mickiewicza zdawała się brzmieć jak gorzka ironia.

Głosy prasy, pamiętniki bezrobotnych, kroniki policyjne z okrośsanacyjnego są aż nadto wymownymi dokumentami oskarżającymi.

„Walka Ludu” (nr 19 r. 1933) pisała:

„Kryzys kapitalistyczny najstraszliwiej ciąży na młodzieży robotniczej. Na tej, która wyrosła w głodzie i nędzy, która nie tylko jest bezrobotna, ale która nigdy nie знаła pracy. Nie pracuje i nie ma nadziei, by w tym ustroju pracę otrzymać.”

W miarę zaostreżania się kryzysu rosła szereg bezrobotnych, w których młodzież z dniem każdym staje się liczniejsza.

Dziś liczy już miliony. Miliony młodych, zdrowych, chcących pracować, pozostają bez pracy, demoralizują się, degenerują.

Ci, którzy mieli ruszyć bryłę świata, nie biorą żadnego udziału w życiu i produkcji ludzkiej.

Oni, którzy byli nadzieją narodu i własnych rodzin, stali się ciężarem, przekleństwem. Mieli utrzymywać starszych — a dziś wraz ze starymi, śpiwem, wędrówkami podwózkowymi ratują się przed śmiercią — głodem!”

„Republika” (nr 158 r. 1933) pisała w artykule pt. „Młodzież bezrobotna”:

„Według danych inspektoratów pracy w r. 1929 w okresie najlepszej koniunktury pracowało ogółem przeszło 77 tysięcy młodocianych do lat 18. Według obliczeń za rok 1932, liczba ta spadła do 27.000. Zaledwie trzecia część młodzieży pozostała przy pracy. 50.000 młodych znalazło się poza murami „fabryk i zakładów.”

Tak było w roku 1932. To samo pismo skarży się w roku 1937 (nr 52):

„Niewypowiedziana jest rozpacz młodego pokolenia, które widzi i czuje, że świat nie jest dla niego, że nie jest nikomu potrzebne, że niczego nie może się

spodziewać jak tylko nędzy i poniewierki.

Co rok dorasta w Polsce pół miliona młodych chłopców i dziewcząt. W r. 1935 w przemyśle było zatrudnionych ogółem 600 tys. robotników, w tym co najwyżej 20 tys. młodzieży. Wystarczy zestawieć te dwie cyfry, aby zrozumieć całą beznadziejność położenia młodzieży robotniczej i chłopiejskiej.”

Jakże ponure i beznadziejne były dni tej bezrobotnej młodzieży. Nie wszyscy młodzi chcieli pozostać ciężarem rodziców, najczęściej również biedujących, nie wszyscy umieli śpiewać, grać po podwórkach; nie wszystkim charakter pozwalał ośzukiwać, kraść czy wręcz napadać w celach rabunkowych. Wielu, jakie wielu poddawało się bezwładnej rezygnacji i desperacji. Mówią o tym kroniki policyjne tych czasów:

„Bezrobotny 23-letni St. Jamiołowski zatrzymawszy się przed lokalem dancinowym w Warszawie wybił odważnikiem 5-kilowym dwie szyby wystawowe. Podczas przesłuchania J. oświadczył, że nie mógł znieść widoku bawiących się ludzi, a ponieważ już dawno chciał dostać się do więzienia, aby mieć na pewien czas utrzymanie, więc wybił szyby.” („Walka Ludu” nr 13 r. 1933).

„W Toruniu, w łasku obok Ziełęcina, gdzie w tym czasie bawiono się ochoczko, targnął się na swe życie 22-letni bezrobotny Walerian Kozierski, pozostający od dłuższego czasu bez środków do życia.” („Słowo Pomorskie” nr 113, r. 1932).

„W Urzędzie Pośrednictwa Pracy w Poznaniu zasiadła z głodu 23-letnia Antonina Andrzejewska.” („Nowy Kurier” nr 87 r. 1932).

„Przeszło 300 spraw karnych przeciwko małoletnim notuje sekretariat Sądu Grodzkiego w Poznaniu.” („Nowy Kurier” nr 147 r. 1932).

Takie i tym podobne wiadomości znajdujemy nieomal we wszystkich numerach dzienników przedwojennych. Taka była niedola młodzieży proletariackiej.

A jaka była sytuacja młodzieży uczącej się? Jakże były jej perspektywy? I na te pytania znajdujemy odpowiedź w prasie przedwojennej.

„Na wydziale prawnym uniwersytetu warszawskiego — pisze „Nowy Kurier” (nr 177 r. 1932) blisko połowa tegorocznych absolwentów nie wykupiła otrzymanych dyplomów z powodu nieuiszczenia zaległych składek w stowarzyszeniach akademickich.”

„Echo” łódzkie, organ finansjery, w nr 186 z r. 1932 omawiając problem „nadprodukcji inteligencji” tak pisze:

„Widzimy jasno, że pod wpływem kryzysu gospodarczego, kwestia ta zaostrzyła się bardzo w ostatnich czasach, a w szczególności żywo dotyczy młodzie-

ży w wieku szkolnym, stojącej przed problemem wyboru zawodu. Przed tą młodzieżą odkrywają się w Polsce najrozsądniejsze perspektywy, częstokroć bezrobocie z akademickim dyplomem w kieszeni.”

Owszem była jeszcze inna młodzież, nie borykająca się z trudnościami, nie znająca węgierki ani głodu. Młodzież sterylizująca i tzw. arystokratycznych. Nie szukała ona na wyższych uczelniach wiedzy, lecz silnych wrażeń i wyzycia. Głośno byli awantury i pogromy studenckie, doprowadzające niejednokrotnie do zamknięcia uczelni na dłuższy czas.

Jak pisze „Dziennik Popularny” (nr 43 r. 1933) „zaraza pogromów przeniosła się już z uniwersytetów na ulice. Studenci tłuką szyby, wpadają do sklepów i biją żelazem ludzi oddających się swemu zajęciu, a potem uciekają jak tchórze, nie zdolni ponieść odpowiedzialności za swe występne czyny.”

Ta młodzież cieszyła się szczególnym poparciem prasy endeckiej. Biedująca, bezrobotna młodzież otrzymywała „pocieszenia” w rodzaju tego, jaki dał jej konserwatywny „Czas” (w nr 296 z r. 1932):

Bieda przygotowuje do zwalczania wszelkich trudności. Życie takie ma dodatnie strony, bo hartuje i zaprawia.”

Dość!

Polska Ludowa.

Na widownię wstąpiło nowe pokolenie, któremu władza ludowa udostępniła w najszerzym zakresie dostęp do wiedzy, nauki i pracy.

Młodzież Polskiej Ludowej wypełniała szkoły, fabryki, warsztaty, biura. Młodzież buduje dziś nowe miasta: Nową Hutę, Tychy, przoduje w produkcji i przedterminowej realizacji wielkiego planu 6-letniego.

Czyż nie napieniają nas dumą takie meldunki, jak te oto wiadomości z naszej ludowej prasy: „Na zebraniu wyborczym delegatów na Złot w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Pile, młodzieżowa brigada produkcyjna im. J. Stalina, pracująca przy wykonywaniu części armatury parowej, zameldowała o wykonaniu swoich zadań w planie 6-letnim według obowiązujących norm.”

Brigada młodzieżowa Jana Frankowskiego w Stoczni Gdańskiej do dnia 4 VII wykonała zobowiązanie zlotowe w 199,5 proc., brigada Józefa Maluka w 203 proc.

Młodzi górnicy kopalni „Emilnecja” 28 dni przed terminem wykonali zobowiązanie podjęte dla uczczenia Złota, wyprodukowali dodatkowo 6 tys. ton ła.

Na 100 tysięcy dziewcząt chłopców woj. bydgoskiego realizuje zobowiązania w dziedzinie pracy produkcyjnej kulturalnej.

(Ciąg dalszy na str. 2)



CAF — fot. Zd. Wdowiński

Ostatnie prace na placu Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.

Najstarsza granica Polski

Henryk Barański

Zbliżająca się historyczna data 1000-lecia państwa polskiego taw. Milenium, zmobilizowała historyków polskich do intensywnych badań nad naszą daleką przeszłością. Ukazało się już sporo prac, powiązanych z badaniami archeologicznymi. Większość uczonych, badających nasze granice zachodnie, skupiona jest przy Instytucie Zachodnim w Poznaniu oraz w czasopiśmie „Przegląd Zachodni”. W numerze 3 i 4 z roku bieżącego tego wydawnictwa, ukazała się interesująca rozprawa prof. Zygmunta Sułowskiego, rekonstruująca bieg najdawniejszej granicy zachodniej Polski i uwzględniająca okres najstarszy — granicę plemioną polsko-połabską.

Jak wiemy, że słowiańskich państw zachodnich w ciągu dzieł utrzymywały się jedynie dwa państwa: Polska i Czechy. Pod względem politycznym, zachodnią Słowiańszczyznę podzielić można na dwie części: Złabie, o którego niepodległym bycie nie wiemy oraz Połabie, które poznajemy jeszcze w okresie wolności i możemy źródłowo śledzić jego walki obronne, a następnie podbój Słowiańszczyzny zachodnią, dzielącą się w pierwszych wiekach swej historii na 4 zasadnicze obszary: państwa Piastów i Przemysławów, Złabie opalone przez państwo niemieckie i walczących z parciem Niemców na wschód Słowian połabskich.

Trzeba zaznaczyć, że w literaturze, a przede wszystkim w geografii historycznej istniały na ten temat poważne rozbieżności. Tak np. mapy podane w „Przeglądzie Zachodnim” (1945 rok) i Monografii Odry różnią się znacznie między sobą. Bieg granicy zachodniej Polski z wyjątkiem małego odcinka Odry koło Odrzycka (Oderberga) i ujścia Nysy jest sporny.

Jak według prof. Zygmunta Sułowskiego, który zadał sobie niemały trud zbadania dotychczasowych źródeł, przedstawia się najstarsza granica Polski? Polska w zaraniu swych dzieł sąsiaduje na zachodzie z ustrojami plemiennymi. Zasadnicza granica początkowego okresu Polski, jest granicą plemienną polsko-połabską. W części południowej zanika ona z końcem X wieku (podbój ziem serolskich przez Niemców), a w północnej trwa jeszcze przez cały wiek XI. Odcinki graniczne śląski, lubuski i pomorski stanowią do dnia dzisiejszego przedmiot ożywych sporów.

Zachodnia granica Śląska waha się pomiędzy rzekami Nysą a Bobrem z Gwizdą. Na odcinku lubuskim jedni uczęni włączają całą Ziemię Lubuską w granicach średniowiecznych do Polski, inni lokują plemię Lubuszan (o ile w ogóle takie istniało) na lewym jej brzegu. Wreszcie trafiają się rozwiązania, według których granica państwa Mieszka biegnie Odrą, zagarniając jedynie gród Lubusz. Rzecz znamienna, że

Niemcy nie zgłaszają w tym czasie pretensji do zwierzchnictwa nad tą ziemią w przeciwieństwie do Pomorza nadodrzańskiego, a późniejsze pretensje niemieckie opierają swe prawa jedynie na rzekomym zdobyciu grodu w 1109 roku, co nie jest dokumentem udowodnionym.

Odcinek pomorskiej granicy zachodniej jest znacznie bogatszy w źródła historyczne. Najczęściej wymieniana jest jako granica jedna z cieśnin — Piana, Świna czy Dziwna, a na południu Odra lub Rędowna, bądź prosto rzeką Wkrą. Zasadniczym tematem dyskusji jest problem: Świna czy Dziwna oraz Rędowna czy Odra?

Źródłem, zawierającym dane do całej najstarszej granicy zachodniej Polski jest dokument Mieszka I zwany „Dagome iudei”, stanowiący akt donacyjny Mieszka wraz z rodziną na rzecz Papieża Jana XV (985 r.—995 r.). Imię Dagome tłumaczy się bądź błędem pisarza, bądź co jest prawdopodobniejsze, skrótem chrześcijańskiego imienia Mieszka Dagobert. Według tego dokumentu Szczecin był wówczas we władaniu Miesz-

ka I. Miasto to już u historyka Ibrahima należy do głównych miast państwa Mieszka, który posiadał je w dobie walk z Weletami.

Opierając się na ustalonych faktach historycznych można naszkicować dzieje polskiej granicy zachodniej za dwóch pierwszych Piastów. Już przed połową X wieku dochodzą Niemcy do granic ziem Polski na odcinkach środkowym i północnym nad Odrą. W pierwszym okresie rządów Mieszka toczą się wszystkie walki na skraj Pomorza Zachodniego. W 967 roku Mieszko zwycięża niepodległych jeszcze Wolinian. Czy czynnikiem klęski było włączenie ich ziem do Polski, historycy z całą pewnością nie twierdzą, choć jest prawdopodobne. Później stosunki u ujścia Odry komplikuje najazd duński, po którego odpardzeniu Mieszko już posiada całe Pomorze, a syn jego Bolesław Chrobry wieńczy dzieło założeniem biskupstwa w Kołobrzegu.

Granice plemienną polsko-połabską w Ziemi Lubuskiej stanowił Odra, następnie bagna Odrzyckie, Odra po Olszę,

Olszę, Rędowną, las na północno-zachód od Szczecina, Zalew, Świna. Na tym ostatnim odcinku granicy Polski cofnęła się już przed 1007 rokiem.

Na odcinku południowym w drugiej połowie X wieku margrabia Gero dochodzi do rzeki Nysy, Czesi posiadają Kraków i Śląsk lewobrzeżny. O Śląsku prawobrzeżnym istnieją skąpe dane historyczne. Według dziejopisa Kosmasa posiadłości polskie znajdują się w 981 r. w pobliżu Kłodzka. Wyraźnie ustala się granica polska na południu kraju dopiero około 990 roku. Mieszko zdobywa najpierw Śląsk zachodni po góry, następnie Niemce i Kraków oraz zwycięsko odparł najazd czeski.

Autor rozprawy o najstarszej granicy polskiej nakreślił jedynie granicę przybliżoną, natomiast dokładniejsze wytyczenie strefy czy linii granicznej zapowiada w innej nowej pracy, ale już na podstawie analizy krajoznawstwa i kulturowego, nazw miejscowych i późniejszych granic politycznych po obu stronach najdawniejszej granicy polskiej.

Idziemy po zdrowie na łąki

Tegoroczne upalne lato sprawia, że większość mieszczuchów chętnie korzysta z pozamiejskich przejazdów, aby wśród zieleni zaczerpnąć nowych sił do pracy. Mało kto jednak pamięta, że przyjemność tę połączyć można z pożyteczną akcją, jaką jest zbiór roślin leczniczych bogato porastających nasze pola, łąki i lasy. A przecież zbierając zioła poznajemy lepiej przyrodę i równocześnie niesiemy pomoc cierpiącym.

Zioła pierwszymi lekami

Zioła stanowiły pierwsze naturalne leki, używane przez człowieka. Większość ich wchodziła w skład pożywienia ludów pierwotnych. Dopiero z czasem niektóre zioła o dużym znaczeniu leczniczym, zaczęto specjalnie uprawiać. I tak na przykład w starożytnym Egipcie i na Krecie uprawiano m. in. miętę, rącznik i kolender, rozpowszechnione później na Półwyspie Apenińskim, skąd z kolei wiele z nich zawędrowało do ogrodów polskich.

W Polsce jednak uprawa ziół nigdy nie miała charakteru plantacyjnego. Już ziołopisarze XVI wieku Marcin Urzędów i Syreniusz wskazują w swych dziełach na brak masowej uprawy. Niestety, produkcja ziół była u nas bezplanowa i nieracjonalna, a brak standardu i duże wahania cen wpływały na niską opłacalność ich produkcji. Dopiero w warunkach gospodarki socjalistycznej rozpoczęto planową uprawę roślin leczni-

czych. Plantacje ziół w porównaniu z rokiem 1939 wzrosły o przeszło 3.000 ha. Równocześnie bogactwo flory naturalnej przy racjonalnym jej wykorzystaniu, powiększa rezerwat surowcowy naszego przemysłu farmaceutycznego.

Zbieramy tylko części użytkowe

Lecznicze działania roślin przypisujemy zawartym w niej składnikom tzw. ciałom czynnym. W za-



ležności od okresu, kiedy rośliny zawiera największą ilość substancji czynnych, przeprowadzamy zbiór jej części użytkowych w leśnictwie. Przy zbiorze kwiatów, liści, zieleń czy nasion nie należy wyrwać roślin z korzeniami. Rośliny muszą być zrywane wyłącznie na terenie masowego występowania. Ze względu na lecznicze zadania, jakie spełniać mają zebrane zioła wobec konsumenta, koniecznym jest przestrzeganie higieny zbioru. Tylko zioła bez zanieczyszczeń, dobrze zasuszone i w odpowiednim czasie zebrane, zachowują właściwości lecznicze.

Przypomnijmy sobie, jakie rośliny lecznicze, rosną w naszym kraju. Należą tu kwiaty bławatka, koniczyń, rumianku, jasnoty białej, lipy, koniczyny, pokrzywy, podbiału, dalej ziele: bratka, dziurawca, krwawnika, rdestu płasiego, piołunu oraz grzybek sporysz.

Do najbardziej pożądanym w tej chwili surowców leczniczych należą kwiaty lipy i grzyb sporysz — występujący w postaci fioleto-

wo-czarnych różków w kłosach żyta. Sporysz do swego rozwoju potrzebuje wilgoci i ciepła. Chłodna, tegoroczna zima i upalne lato przemawiają za rozwojem grzybka. Doszukiwać się go należy przede wszystkim we wschodnich powiatach woj. poznańskiego. Grzybek ten trzeba zbierać przed skoszeniem żyta, nie niszczyć jego zasiewów, albo gdy żyto stoi w sнопach na polu lub też przy omłocie i czyszczeniu ziarna. Za 1 kg pierwszego gatunku sporyszu otrzymuje zbieracz 125 zł.

Zbiór kwiatu lipy odbywać się może tylko w czasie pogody, po obsecznieniu rannej rosy. Zbieracz po obcięciu sekactorem młodych ukwieconych gałązek, winien do suszenia przeznaczyć tylko kwiaty z szypułkami i błoniastym listkiem (podsadką kwiatową — patrz rysunek). Przy suszeniu należy uważać na warunki bezsłoneczne, gdyż światło słoneczne wywołuje dla surowca właściwości szkodliwe.

Wszelkie informacje w zakresie zbioru, podstawy surowca i rozmieszczenia punktów skupu udzielają Poznańskie Zakłady Surowców Zielarskich przy ul. Składowej 13/18.

Zbieranie ziół akcją społeczną

Zioła często najlepiej przywracają naruszoną przez chorobę równowagę w czynnościach ustroju. To też zrozumiałe jest ich szerokie zastosowanie w produkcji herbat, syropów, miodów, nalewek, wyciągów, soków, tabletek ziołowych, nie mówiąc już o szczególnie leczniczych właściwościach wydobytch z roślin substancji czynnych. Aby jednak dziko rosnące leki mogły być w pełni wykorzystane, potrzebny jest udział przy zbiorze wszystkich instytucji społecznych wsi: PGR-ów, POM-ów, spółdzielni produkcyjnych, wreszcie dzieci szkolnych i społeczeństwa starszego. Tylko przez masowy i racjonalny zbiór możemy powiększyć nasze zasoby zielarskie, stwarzając w ich oparciu potrzebny przemysł przetworów zielarskich.

Zbieranie ziół jest akcją ogólnokrajową, regulowaną specjalnymi instrukcjami Ministerstwa Przemysłu Rolnego i Spożywczego w myśl których m. in. zbieracze nie mający własnych drzew (np. lipy) mogą uzyskać zezwolenie odpowiednich władz lub właścicieli prywatnych na zbiór surowca. Zezwolenie na zbioru z terenów parkowych Poznania wydaje Wydział Gospodarki Komunalnej przy Prezydium MRN. (Lut)

O historii powstań chłopów polskich

Dr St. Szczotka, prof. U. P.

„Walka klasowa między wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi stanowi podstawową cechę ustroju feudalnego” — oto dosadne i najbardziej krytyczne sformułowanie istoty dzieł w okresie feudalizmu według Józefa Stalina. Zagadnienie walki klas, to zagadnienie rozwoju społeczeństwa, to zagadnienie postępu. Tenże koryfeusz naukowego pojmowania historii stwierdził, że: „nauka historii, jeżeli chce być rzeczywistą nauką, winna się przede wszystkim zająć historią wytwórców dóbr materialnych, historią ludów”.

Falsze burżuazyjnej nauki

W związku z powyższym sformułowaniem nasuwa się pytanie, czy w ten sposób pojmowała nauka polska zagadnienia związane z naszą przeszłością. Odpowiedź musi być, niestety przecząca. Historycy polscy zgola inaczej patrzyli na przyszłość naszego narodu i inaczej ją przedstawiali. Historia służyła interesom klasy rządzącej, była więc uzasadnieniem feudalnej przemocy szlacheckiej nad poddanymi — chłopami, względnie w XIX i XX wieku do 1944 r. reprezentowała pogląd, którego naczelnym hasłem było stwierdzenie: „z szlachtą polską polski lud”.

Historiografia polska z okresu przedrozbiorowego stwierdzała, że koniecznością dziejową jest uległość chłopów wobec dziedziców — szlachty, w czym znajdowała oparcie tradycji, wszechmoc państwa feudalnego w poddańczym ujarzmianiu poddanych, oraz kościoła stojącego do dyspozycji rządzącej klasy dziedziców — szlachty. Historycy z okresu od drugiej połowy XIX stulecia do września 1939 r. starali się udowodnić, że położenie chłopów w Polsce przedrozbiorowej było lepsze niżeli w innych krajach feudalnej Europy. Jako zasadniczy dowód tego rodzaju stwierdzenia wysuwał oni argument, że chłop polski, w odróżnieniu od chłopów niemieckich, francuskich, włoskich czy angielskich, cierpliwie godził się ze swoim położeniem gospodarczym i społecznym, że ulegał bez zastrzeżeń żądaniom dziedziców. W Niemczech, we Francji i w innych krajach Europy zachodniej dochodziło do chłopskich buntów przeciwko feudalom, co podjęli walkę w połowie wojen i rozruchów, w Polsce zaś, według twierdzeń tych historyków, chłop posłusznie wykonywał wolę „miłosiernych” i wspaniałomyślnych panów.

Rzeczywistość historyczna była zgola inna. Chłoptwo w dawnej Rzeczypospolitej stanowiło ustawicznie opór państwu wyzyskiw. Opór ten, to najistotniejszy wyraz klasowej walki poddanych przeciwko szlachcie. Miał on różne formy i w różnych okresach różne nasilenie było jego cechą charakterystyczną. Chłop — poddany opierał się pańskim nakazom, lekceważył je, starał się wykonywać je jak najgorzej. Stąd jego mała wydajność pracy na pańskim folwarku.

Środki oporu

A kiedy tego rodzaju walka nie przynosiła pożądanych przez chłopów owoców,

poddani sięgnęli do innego środka oporu — zbiegostwa. Masowo opuszczali swe dotychczasowe gospodarstwa, których byli tylko użytkownikami i zbiegali z wsi rodzinnych, szukając lepszych warunków bytu dla siebie i swych rodzin. Przede wszystkim zbiegali na kresy południowo-wschodnie dawnej Rzeczypospolitej. Tam w magnackich dobrach znajdowali lepsze warunki bytu. Nie było tam folwarków — nie odrabiali więc pańszczyzny, tej najstraszniejszej zmyry chłopskiej w dobie Polski szlacheckiej.

Kiedy zaś pod sam koniec XVI i na początku XVII w. na owej Ukrainie zaczęły powstawać folwarki, za którymi następowała jako logiczne następstwo pańszczyzna, kiedy przez zbiegostwo chłop nie mógł znaleźć korzystnego dla siebie wyjścia z dręczącego ich systemu, doszło do ostatecznej formy chłopskiej walki z feudalizmem — do chłopskich powstań.

Zbrojne wystąpienia chłopów

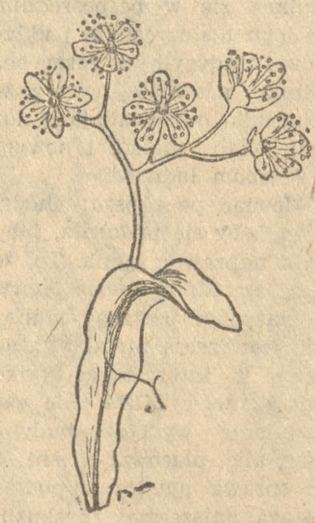
Zaprzestali chłopcy wychodzić do odrabiania pańszczyzny, a kiedy ich siłą próbowano do tego zepędzić, stawiali opór, który często kończył się ofiarami krwawymi po obu stronach. Materiały archiwalne, nie zbadane dotąd przez historyków, dają podstawę źródłową do przedstawienia całego szeregu buntów i powstań chłopskich przeciwko szlacheckiemu wyzyskowi i przemocy. Zaznajomienie się z nimi zadaje kłam twierdzeniom dawnych historyków. Chłopi polscy nie poddawali się dobrowolnie pańszczyźnianemu jarzmu. Stawiali do walki z feudalnym uciskiem, walczyli o swe prawa, o byt swoich rodzin i sąsiadów.

W dziejach Polski przedrozbiorowej można wyśledzić cały szereg chłopskich powstań antyfeudalnych.

Największy rozgłos posiadało chłopskie powstanie z 1651 r. zwane popularnie powstaniem Kostki Napierskiego. Chłopi ukraińscy pod wodzą Bohdana Chmielnickiego buntowali przeciwko feudalom, co podjęli walkę w połowie XVII w. o swe wyzwolenie społeczne i narodowościowe, spod szlacheckiego panowania. Ich sukcesy (Korsuń, Żółta Woda, Pławce) zachęcały chłopów polskich do podjęcia zbrojnej walki przeciwko państwu wyzyskiw. Kiedy w 1651 r. szlachta polska wyprawiła się przeciwko Chmielnickiemu, zjawił się na Podhalu Aleksander Kostka Napierski, który nawoływał chłopów, aby skorzystali z okazji i wystąpili przeciwko dręczącym ich dziedzicom.

Bogate w tradycje były walki górali ze szlachtą. Chłopi podgórcy ustawicznie opierali się feudalom, uciekali poza granice państwa bądź też w zbrojnych organizacjach mścili się za krzywdy swoje i swoich współbraci. Kostka znalazł na Podhalu pomocników w organizowaniu chłopskiego oporu. Byli nimi: Stanisław Łętowski zwany Marszałkiem dawny przywódca górali w powstaniu przeciwko Mikołajowi Komorowskiemu i Marcin Radecki, kierownik szkółki parafialnej w Pelmie.

Powstanie chłopskie z 1651 zainicjowało szersze kręgi. Ruszyli do walki przeciwko szlachcie poddani w Wielkopolsce, na Mazowszu i w okolicach Lublina. Upadek Czersztyna, pojmanie Kostki Napierskiego i klęska Chmielnickiego pod Beresteczkiem uniemożliwiły dalszy rozwój chłopskiej walki ze szlachtą. Na zrealizowanie hasła chłopskiego powstania z 1651 r. trzeba było czekać jeszcze nieomal przez lat trzysta.



DWA POKOLENIA

(Dokończenie ze str. 1)

turalnej, sportowej i społecznej, podjęte dla uczczenia Złotu.

Zobowiązania młodzieży wielkopolskiej przekraczają wartość 1,5 miliona zł.”

Tego rodzaju wiadomości wypełniają codziennie łamy naszych pism.

Prezydent Bolesław Bierut na VII Plenum KC PZPR tak mówił o młodzieży:

„Coraz szerszym nurtem wpływa młodzież do gospodarki narodowej, do przemysłu. Już na początku 1951 r. w przemyśle na 1000 zatrudnionych przypadło 265 z młodzieży i, rzecz jasna, udział młodzieży z każdym rokiem będzie się powiększał. Nasze nowe zakłady przemysłowe posiadają załogi w większości młodzieżowe, tak na przykład w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu młodzież stanowi około 70 proc. załogi, w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie 65 proc. załogi, w Piotrkowskim Kombinate Bawełnianym młodzież stanowi około 55 proc. załogi, przybudowie Nowej Huty pracuje młodzieży około 70 proc. Znacząca

część tej młodzieży osiąga dobre wyniki produkcyjne. Wielu młodych robotników z honorem nosi miano przodowników pracy.”

Młodzież jest przedmiotem szczególnej troski naszych władz. Mówił o tym ostatnio na Krajowej Naradzie Młodych Przewodników premier Cyrankiewicz:

„Towarzysz Bierut powiedział na obchodzie 60 rocznicy swoich urodzin, że dla Partii troska o człowieka o prostym i czułym sercu jest sprawą najświętszą. Nie ulega wątpliwości, że w tej trosce o człowieka, troska o młodzież, o młode, czułe i gorące, dla Ojczyzny bijące serca, jest sprawą niezwykle ważną.”

To w tym roku klasa robotnicza i jej Partia oraz przodujące chłopstwo, najlepsze siły narodu, składają w ręce młodych dorobek walki całych pokoleń ludu polskiego, dorobek walki na śmierć i życie z hitleryzmem, dorobek walki klasy robotniczej z krzywdą i wyzyskiem, dorobek zwycięskich 8 lat niepodległej Polski Ludowej — naszą Konstytucję.”

Czas, co łyzy spłoszył

Alfred Kaczkowski

Tegoroczny okres letni przebiega pod znakiem zapewnienia ogółowi pracujących coraz lepszej, coraz bardziej wykwalfikowanej pomocy lekarskiej. Dotychczasowe osiągnięcia Służby Zdrowia w woj. poznańskim są olbrzymie w stosunku do czasów przedwojennych. Troskę państwa o zdrowie ludności można szczególnie łatwo zaobserwować na wsi. Dla pełniejszego zobrazowania różnic między dzisiejszym i dawniejszym stanem zdrowotnym — rzućmy okiem na wieś z czasów przedwojennych, więc spotykamy raczej w woj. wschodnich. Pisze o niej dr M. Kacprzak w książce pt. „Zdrowie w chacie wiejskiej”, wydanej w roku 1928 w Łodzi.

„Ubożo wyglądają nasze wioski. Zabudowania gospodarskie nierównym szeregiem ciągnące się wzdłuż krętej, biotnistej, rozdeptanej przez ludzi i zwierzęta drogi, rozrzucone bezładnie, mają wygląd obozowiska, rozłożonego przypadkowo. Budynki przeważnie małe, nędzne, sklejone na prędce, ze wszech stron pozabijane deskami, popodpięte drągami, są postawione, wydaje się, jedynie po to, by chronić chwilowo dobytek od gwałtownego wiatru i większej niepogody. Podwórze niezagrodzone, na nim pod góym niebem leżą jakieś sprzęty gospodarskie, a pośrodku stos nawozu. Obok zabudowań parę zdziczałych, krzywych drzewek owocowych, nieco dalej studnia z kałużą wokół, a że i ustępują brak zupełnie, więc ślady ludzkiego pobytu widać wszędzie; wzbudza to odrazę i szerzy przykrą woń.”

Obraz takiej wsi należy już do bezpowrotnej przeszłości. W naszym województwie na utrzymanie zagrod w należytym porządku i higienie wpływa dzisiaj poprzez uświadomienie pracownicy 74 wiejskich ośrodków zdrowia oraz wyszkolone na kursach w Pile i Poznaniu pielęgniarki. Dużą wagę do stosowania zasad higieny w codziennym życiu przykładają Zarząd Wojewódzki PCK. Temat ten jest treścią pogadanek przeprowadzonych przez wykładowców z PCK, odwiedzających wsię wraz z objazdowymi ekipami sanitarnymi. Drobnej nawet części tej opieki sanitarnej nad ludnością wiejską nie było przed wojną. Wynika to ze słów dra Kacprzaka, omawiającego wygląd domu, który daleko odbiega od czystego, przestronnego i jasnego domu członka dzisiejszej spółdzielni produkcyjnej.

„Chata upadła, dopóki całość wyglądała: niska, krzywa, odra-pana, obłożona od dołu perzem lub nawozem, pokryta zapadniętym dachem słomianym, latanym co rok w innym miejscu; okienka małe, z szybami z kawałków, a przed samym progiem izby kupa śmieci — oto często spotykany obrazek. Nie widać dziwnego, że chłop polski żyje o jakieś 15 lat krócej, że śmiertelność dzieci do roku jest u nas przeszło dwa razy wyższa niż gdzie indziej, że choroby zakaźne gnębią nas stale.”

Obecnie w wypadku poważniejszej choroby chłop leczy się w szpitalu, uzyskując na podstawie zaświadczenia GRN o przychodowości jego gospodarstwa ulgę w opłatach. O jego zdrowie dba personel jednostki Służby Zdrowia, których liczba wzrosła w Wielkopolsce w stosunku do roku 1950 o 78,3 proc. Może też w potrzebie korzystać z usług karetka pogotowia, zwiększonych liczbowo w stosunku do tego samego roku o 102,9 proc. Często poddaje się również szczegółowemu badaniu.

Śmiertelność wśród dzieci, wynosząca przed wojną 14 proc., zmalała w olbrzymim stopniu z chwilą uruchomienia stacji opieki nad matką i dzieckiem, istniejących obecnie przy każdym ośrodku zdrowia. Nie bez wpływu na spadek zgonów dzieci jest także wzrost liczby porodów o 100 proc. w stosunku do roku 1950. Nie widzieliśmy ich dawniej na wsi. Oto jakie dr Kacprzak widzi sposoby na zmniejszenie śmiertelności wśród ludności wiejskiej w okresie dwudziestolecia.

Trzeba podnieść stopę życia, to znaczy trzeba wygodniej mieszkać, lepiej się odżywiać, lepiej się ubierać, a wtedy i żyć będziemy dłużej i chorób będzie mniej. Walka o zdrowie — to walka o kulturę. To jest cel, do którego dążymy wszyscy, ale nie jesteśmy w stanie urzeczywistnić go z dnia na dzień. Dążenie do zdrowia — czytamy w innym miejscu — jest najsilniejszym bodźcem do walki o poprawę ogólnych warunków bytu. Bo w rzeczywistości walka o zdrowie, to walka o radość życia, o możliwość otrzymania od życia wszystkiego co ono dać może, do czego człowiek dąży i do czego ma prawo.”

O nadejściu tych lepszych czasów marzy także J. Kasprzowicz, którego wiersz obrał sobie dr Kacprzak za motto do swej pracy.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy...
Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień o ławia obficie.
Hej! czy przyjdzie czas, co łyzy te spłoszy?

Polska Ludowa urzeczywistnia te marzenia. Chłop posiada już pełne prawo do opieki zdrowotnej, zagwarantowane w projekcie Konstytucji i coraz chętniej z tej opieki korzysta. W powiecie poznańskim np. lekarze udzielili w I kwartale br. 58.951 porad i wykonali 17.955 drobnych zabiegów. Obsługują oni także ruchomy ambulans odwiedzający co pewien czas kilkadziesiąt wiosek, które zaopatruje w potrzebne lekarstwa. Fakty te świadczą, jak nieporównanie wzrosła obecnie opieka zdrowotna nad ludnością wiejską.

Uczeni polscy a nowa biologia

Ludwik Chomiński

Rozwój nauk biologicznych w Polsce wkroczył na nowe tory z chwilą odzyskania niepodległości i rozszerzenia bazy naukowej. Zwiększyła się ogromnie ilość zakładów doświadczalnych, rolniczych i zootechnicznych. Powstały i tworzą się różne instytucje i towarzystwa naukowe, muzea przyrodnicze itp. Wszystkie te instytucje posiadają liczne kadry na-

ukowców, których liczba idzie dziś w setki, jeśli nie w tysiące.

Niesposób wymienić ich wszystkich, jak nie starczyłoby miejsca na wyliczenie nazwisk choćby tylko wszystkich profesorów i poważniejszych naukowców w dziedzinie biologii, genetyki, cytologii i biochemii, poświęcających się pracom naukowym w Polsce w ciągu ostatnich lat.

Interesują nas najbardziej genetycy i hodowcy lub ci, którzy do rozwoju genetyki naukowo lub praktycznie przyczynili się, albo jej sprawy propagują. Będą to nazwiska już wymienione, a przede wszystkim dawniejsi uczeni: Nusbaum, Janczewski, Raciborski, Godlewski (jun.), Klecki, Prawocheński, Moczarowski oraz dzisiaj działający: Dembowski, Pieniążek, Michajłow, T. Marchlewski, Malinowski — obok wielu innych i plejady młodych, których imię jeszcze nie zabłysło.

Nie dziwny się, że dawniejsze prace tych uczonych oparte były na teoriach genetycznych mendelizmu, nawet morganizmu, jako na bazie naukowej ogólnie do niedawna obowiązującej w nauce światowej. Polska dostrzymywała jej kroki. Lecz wielu z wymienionych nieśmiało może, ale wysuwało swe zastrzeżenia co do wynaturzeń morganizmu.

Powstaje teraz pytanie, jak się genetycy polscy ustosunkowują do zasad nowej biologii. Czy tak skostniali w formalizmie genetyki oficjalnej, która tak długo święciła triumfy na świecie, że nowy powiew już ich nie poruszy? Czy utrzyma się w wielu przesadna wiara, że to, co uznane jest na Zachodzie, musi być uznane za słuszne i u nas?

W nauce działają nieraz dawne nawyki myślenia, tradycje szkoły, z której się wyszło i pod wpływem której sformułował się własny światopogląd naukowy. Wszystkie te wpływy działać musiały bardzo silnie. Jeżeli nawet w Związku Radzieckim wielu poważnych uczonych hołdowało im do niedawna — i to mimo istnienia i rozwijania się nowej szkoły agrobiologicznej na miejscu, ciągłych dyskusji genetycz-

nych przedstawicieli obu kierunków i możliwości sprawdzania doświadczeń nowej szkoły. A Polska przed wojną, oddzielona „żelazną kurtyną” od wszystkiego, co się działo na Wschodzie, przeżywała o tym nie wiedziała. W biologii zresztą, jak i w innych naukach, działała nie raz skostniały formalizm. Genetyka formalna była przy tym wygodna i nie zmuszała swych wyznawców do żywszego myślenia. Budziła niechęć w niektórych umysłach, podatnych na takie wpływy, różne reakcyjne teorie rasistowskie.

Echa polityki zaczęły się przesączać i do nauki w czasach, gdy rozrastał się potworny faszyzm i hitlerizm, który gdzieś indziej i w Polsce zaczynał znajdować posłuch dla swych zbrodniczych teorii rasistowskich w polityce. Znalazło tu swoją pozycję niejedno wystąpienie antysemitki, które mogłoby pokryć wstydem postępowe imię polskie na świecie.

Znaleźli się wtedy i domorośli eugenicy, propagujący nawet na zjazdach (Poznań) zasady utrzymania polskiej „czystości rasy” (!). Przykre to wspomnienia, nie będzie mi więc utrulać tych nazwisk, które tej psychologii uległy.

Były to na szczęście tylko wybrki poszczególnych jednostek, nie obniżyły więc godności całej nauki polskiej, która się im nie poddała.

Ci naukowcy polscy, którzy czuli odpowiedzialność za wyniki swych prac dla kraju, a byli bliżej związani z praktyką rolniczą niż ich koledzy na Zachodzie, mieli oczy i uszy otwarte na wszystkie poważne prądy naukowe, jak tego mamy liczne przykłady w dziejach biologii polskiej.

Większość z nich zainteresowała się więc od razu rewelacyjnymi z naukowego punktu widzenia odkryciami szkoły miczurinowskiej i agrobiologii radzieckiej. A miarą ich rzetelnego i głębokiego przystępowania do spraw nauki jest ich stosunek do nowej biologii i genetyki. Kilku zaledwie bez bliźszego zbadania istoty rzeczy wystąpiło przeciw teorii jarowizacji. Inni też nie od razu przeszli na nowe pozycje, chowając może nierzadko pewne zastrzeżenia, nim się o słuszności nowych teorii przekonali w całości czy na pewnym ważkim odcinku. Nieliczni tylko, skostniali w dawnym światopoglądzie naukowym, nie mogli się z nowością pogodzić. Lecz nowa biologia znajduje w Polsce Ludowej coraz więcej gorących zwolenników.

Prof. Jan Dembowski, znany biolog i ewolucjonista, badacz ciekawej dziedziny psychologii zwierząt, szczególnie reakcji psychologicznych małych człokołkształtnych w porównaniu z człowiekiem, stanął dziś na stanowisku nowej biologii w książkach popularizatorskich, czasopiśmie i odczytach.

Prof. dr S. A. Pieniążek, dokonujący doświadczeń w prowadzonym przez siebie Zakładzie Sadownictwa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Skierniewicach, gdzie posiada szereg odmian miczurinowskich, stał się gorącym propagatorem nowego kierunku. Dowodzi to jego trzeźwego sądu i umiejętności obserwacji przyrody oraz braku uprzedzeń. Zna on bowiem doskonale świat morganizmu, gdyż spędził szereg lat na dokształcaniu się w Ameryce. Czytelnicy czasopism naukowych, a szczególnie „Problemów”, mają sposobność zapoznania się z jego cętym piórem w obro-

nie zasad biologii miczurinowskiej.

Prof. dr Włodzimierz Michajłow, w szeregu publikacji, odczytów, w książkach popularnych i na kursach do kształcących nauczycieli przyrodników, rozwinął szeroką działalność propagandową osiągnięć agrobiologii radzieckiej.

Pięknym przykładem rzetelnego stosunku naukowego do spraw genetyki może być stanowisko prof. dr. Edmunda Malinowskiego, który w ciągu długiego i zasłużonego życia był wyznawcą mendelizmu. Jego książka: „Dziedziczność i zmienność”, wyd. w 1927 r., poświęcona była przedstawieniu genetyki w ujęciu formalnym.

Obecnie, po zapoznaniu się z nową genetyką i przeprowadzeniu doświadczeń, oświadcza on, co następuje:

„Agrobiologowie radzieccy powiązali naukę z życiem w dziedzinie wytworzenia nowych form roślin i zwierząt. Stworzyli nową naukę o dalekich perspektywach teoretycznych i o dużym znaczeniu praktycznym. Istnieje kontrowersja między genetyką radziecką, a genetyką zachodnią... Jednak dotąd genetycy zachodni nie powtórzyli doświadczeń radzieckich.”

Prof. A. Listowski zabiera również głos w tych sprawach. Dał ciekawy wykład genetyki roślinnej według nowych zasad jako uzupełnienie wydania „Botaniki” Szymkiewicza.

Prof. Teodor Marchlewski, genetyk i hodowca, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i przewodniczący kolegium redakcyjnego „Przeglądu hodowlanego”, coraz więcej uwagi poświęca sprawom nowej genetyki, stając oficjalnie na jej stanowisku.

Wielu młodszych uczonych, jak dr inż. Pałak i inni, zamieszczają prace oświetlające wszelakim nowym zagadnieniem.

W Polsce nie tylko propaguje się te zasady, ale na ich podstawie uzyskuje się już poważne osiągnięcia naukowe, a przede wszystkim praktyczne.

Ludwik Chomiński: „Od Darwina do Miczurina”, Warszawa 1950.

BUTLER (przeglądając akta): Czy zgadza się, że występowaliście publicznie za sowieckim systemem społecznego lecznictwa? (Morrison porusza się na krześle i milczy). Jest to prawda — albo nie? Występowaliście z tym otwarcie? (Cisza. Członkowie wydziału komisji wpatrują się w Morrisona. Stenograf czeka gotów do pisania).

MORRISON (wolno): Jeżeli twierdzenie, że jestem komunistą stał się wywodzi, mogę wyjaśnić! To jest nieporozumienie.

BUTLER: Od tego jesteśmy, aby wszelkie nieścisłości prostować!

MORRISON (pochylając się jak gdyby miał zamiar przekonać wydział): Musicie poznać me sprawy osobiste. Tak się stało, że w mej rodzinie było wystarczająco chorób, jak na jednego. Przed pięciu laty, przybyło nam trzecie dziecko i moja żona zaniemogła na nerki. Chłopczyk z astmą od drugiego roku życia. Chciałem mu zapewnić najlepszą opiekę lekarską, na jaką mnie stać. Ale nie w klinice. Opieka lekarska jest droga, wierzcie mi! Chłopiec leczy się na alergię. Nie orientując się co to jest. Chłopiec dranie się do krwi — od głowy do stóp. Mei żonie starali się uratować nerki — ale tego roku musiano jedną wyjąć. Cieżka operacja. Tak! Ja nie skarzę się. Każda rodzina ma swoje kłopoty. Ale całe moje pieniężne rozszły się na to. Jeszcze teraz zmuszony jestem spłacać raty.

BUTLER (z sympatią): Chcieliście sprawę naświetlić! Ponieważ były wielkie wydatki na leczenie, dlatego uważacie, że Ameryka powinna wprowadzić system sowiecki.

MORRISON (wolno): Nie! Tego ja nie chciałem powiedzieć.

BUTLER: Nie? (ostro): Czy polegał więc na prawdzie wasze rozmowy, że powinniśmy mieć taki system lecznictwa jak Rosjanie?

MORRISON (smutnie): Żle to tłumaczy cie. Mnie było to obojętne, czy to jest amerykański sposób, czy turecki, bądź indyjski. Mnie przyszło to do głowy, ponieważ przeczytałem artykuł pewnego profesora z fakultetu medycznego uniwersytetu Johna Hopkinsa. Powiedziałem sobie, że to mógłby się nam przydać. Bezpłatne leczenie. Tak, kiemu jak ja, byłoby to potrzebne.

BUTLER: Gdzie czytaliście ten artykuł?

Albert Maltz

SPRAWA MORRISONA

Albert Maltz, podobnie jak Howard Fast, należy do tych postępowych pisarzy amerykańskich, którzy dla dobra swego narodu i całej ludzkości piętnują zło społeczne i niesprawiedliwość ustroju Stanów Zjednoczonych. Walczy on piórem o zwycięstwo sprawiedliwości na świecie i pokój między narodami. Poniżej drukujemy fragment jednej ze sztuk Alberta Maltza.

MORRISON: Nie przypominam sobie w jakiej gazecie. Podczas wojny.

BUTLER: Czy broniliście również innych spraw sowieckiego ustroju?

MORRISON (poważnie): Bardzo mało wiem o ustroju sowieckim, Mr. Butler. Jak więc mogłem go bronić?

BUTLER: Jakże jest wasze zdanie w sprawie stanowiska zajmowanego przez komunistów w kwestii murzyńskiej?

MORRISON (wstaje niespokojny): Stanowisko? Nie mam go wcale (przechadza się parę kroków).

BUTLER: Czy nie podpisywaliście kiedyś pewnej petycji przeciwko prawu Lynchaj?

MORRISON (po krótkiej przerwie): Tak, zrobiłem to.

BUTLER: Czy wiadomo wam, że komuniści zwalczają to prawo?

MORRISON: Nie wiedziałem o tym.

BUTLER: A czy podpisaście to?

MORRISON: Więc co robić, Mr. Butler? Lynchowanie jest niehumanitarne — sądzę. Ja jestem przeciwko temu. A wy nie?

BUTLER: Czy nie podpisywaliście kiedyś pewnej petycji przeciwko podatkowi wyborczemu?

MORRISON: Może być, nie jestem tego pewien. Lecz ściąganie podatku wyborczego w stanach południowych jest wbrew ustawie. Chyba wy jesteście również tego zdania.

BUTLER: Teraz powiedzcie nam, kto was nakłaniał do podpisywania petycji?

MORRISON (przechadza się): Rozmaici koledzy na stoczn.

BUTLER: Czy to byli komuniści?

MORRISON: Jeżeli nimi byli, to nie powieździeli mi tego.

BUTLER: Był Black jednym z nich?

MORRISON: Zda się, że tak.

BUTLER: Czy nie uważacie go za komunistę?

MORRISON: Nie mówię mi nigdy o tym, że nim jest. Nie zastanawiałem się nad tym.

BUTLER: Przypuśćmy, że wiedzieliście o tym. Czy i wówczas podpisałibyście petycję?

MORRISON (zulekając): Tak! Wówczas również potępiłbym lynchowanie, prawda?

BUTLER (ostro): Przypuśćmy, że dano by wam w owym momencie petycję przeciwko lynchowaniu do podpisania, a wy ujrzelibyście w nagłówek nadpis partii komunistycznej. Czy i wówczas podpisałibyście?

MORRISON (zulekając): Sądzę, że nie.

BUTLER: Dlaczego nie?

MORRISON (wprost): Ponieważ wpakowałoby mnie by to w takie same trudności jak właśnie teraz.

BUTLER: Czy to byłby jedyny powód wstrzymania się od podpisania?

MORRISON: Powiedziałem już raz. To jest przykre położenie. Byłbym mimo to nadal przeciwko lynchowaniu.

BUTLER (podchwytliwie): Uważacie więc, że gdybyście byli pewni nienarażenia się na kłopoty, to wówczas byłoby gotowi podpisać petycję partii komunistycznej?

MORRISON (prostując głowę, otwiera usta i jak gdyby odczuwał ból. Siada): Zupełnie mnie skołowałście. Staracie się doprowadzić do tego, abym powiedział: „Skoro komuniści są przeciwni lynchowaniu, byłoby dla

mnie lepiej zmienić moje zdanie i być przeciwko temu — w przeciwnym razie będę nielojalnym Amerykaninem”.

BUTLER (szybko): To nie jest moim zamiarem. Staram się po prostu wysłuchać wasze stanowisko co do rozmaitych zagadnień. Tak. Przed kilku minutami przyznaliście się, że jedną spośród petycji przez was podpisanych, otrzymaliście od Blacka.

MORRISON: Tak!

BUTLER: Od kogo pochodziły te drugie petycje? Także od Blacka?

MORRISON: Od rozmaitych kolegów.

BUTLER: Kto oni są?

MORRISON: Jednym z nich był... (przerzywa, spokojnie). Zda się... Nie przypominam sobie!

BUTLER: Zgodźmy się, że będę wam czytał nazwisko każdego, kto pracuje u was na stoczn. Czy przypuszczacie, że to wam pomoże przypomnieć sobie?

MORRISON (wstaje, krótko): Słuchajcie! Jestem w przykrym położeniu. Byłbym podłym donosicielem, gdybym jeszcze innych chciał do tego wciągnąć. Nie uważacie?

BUTLER (spokojnie): Wzbraniacie się więc wydziałowi powiedzieć kto te petycje rozdelał?

MORRISON (stara się wszystko w żart obrócić): Dlaczego nie udacie się więc do policji? Jest oczywiste, że jej notatki są lepsze od moich.

BUTLER (spokojnie): Możemy więc przyjąć, że nie leży w waszym zamiarze doprowadzić do oczyszczenia stoczni z elementów nielojalnych?

MORRISON (czyni gest oburzenia): Rozdzielanie petycji... Czy to czyni obywatela nielojalnym, Mr. Butler?

BUTLER (spokojnie): Oświadczacie więc do protokołu, że nie poczuwacie się do obowiązku odpowiadać na pytania które wam wydział stawia?

MORRISON (krzycząc): Nie zdradzę nikogo! Nie macie najmniejszego prawa pytać mnie w ogóle o coś podobnego. To są moi koledzy ze stoczni!

BUTLER (ostro): Nawet jeżeli to są komuniści?

MORRISON: To obojętne kim oni są! Ja nie jestem szpiclem...

spiszczyli M. J.

Delegaci młodego pokolenia

Przodownik ze Stomila

Z głośników radiowych słyszymy piosenki złotowe. Na murach miast plakaty i napisy: Czy wykonałeś już swoje zobowiązania złotowe? Młodzież. Gdzie tam — cała Polska żyje przygotowaniami do Złota.

Dwieście tysięcy młodych przodowników pracy, nauki, wyszkolenia bojowego jedzie na Złot. Takiego zjazdu najlepszej polskiej młodzieży jeszcze w historii naszego kraju nie było. Z odległych zakątków kraju, najdalszych wsi i miasteczek na zew przodującej organizacji młodzieżowej — Związku Młodzieży Polskiej — spieszą do stolicy najlepší z młodych. Przedstawiciele pokolenia, które wyrastało i dojrzewało już w Polsce Ludowej. Młodzi wykażą w Warszawie swe przywiązanie do Ludowej Ojczyzny, powiedzą o swej gotowości do obrony całości jej

granic i bezpieczeństwa, o gotowości poniesienia wszystkich trudów w przyspieszeniu naszego marszu ku ustrojowi socjalistycznemu.

W dniu, w którym zjeżdża do Warszawy dwieście tysięcy młodych, odbywa się historyczne posiedzenie sejmu. Sejm Ustawodawczy odbywa ostatnią debatę nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, konstytucji, która podsumowuje zdobycze socjalne mas pracujących wywalczonych przez bohaterką klasę robotniczą naszego narodu. Młodzież brała masowy udział w ogólnonarodowej dyskusji nad tym projektem. Wielkim czynnem złotowym, którego wartość w skali krajowej objęła wiele milionów złotych, uczciła ten dzień należący do młodego pokolenia. Pierwszego pokolenia, które pracuje i zdobywa wiedzę w wolnej Ojczyźnie.

Zgrana brygada

Ojciec Bolesława Kowalskiego miał w lubelskim 1 hektar. W 1944 roku Manifestem PKWN dostał 5 hektarów ziemi. Bolesław miał wówczas ledwie skończonych lat osiemnaście. Wziął ojcowski pług i porzucił koniem orał ziemię, by owej wojennej jesieni zasiać pierwsze chłopskie ziarno w obszarach dawniej morgi. Nie słyszał nawet, jak lemieś zawadził o metal. Od razu ziemię wyrwało przed nim, konia rozniosło, a chłopak upadł i stracił przytomność.

Mina. Zła, faszystowska mina. Kąkol metalu i dynamitu. Złe, bolesne owoce przynosi ziarno kółko. Bolesław stracił wzrok. Odłamki tak poraziły oczy, że najlepszy lekarz nie potrafiłby ich uratować.

Czy wście, co to znaczy utracić wzrok? Dawniej na wsi ociemniały mógł tylko chodząc i zbierać. Prosił w chałupach o garnuszek zupy i parę chudych grosików. Gdzieby mógł myśleć o pracy zawodowej. Niektórzy dosięgali jej, lecz jakichś chałupniczych okrucich. Wyplatali koszyki, robili szczotki — i na tym ich użyteczność dla społeczeństwa się kończyła. Sens życia niewidomego zamykał się w czekaniu na dobrotę i ludzką łaskę.

Taki właśnie los wymierzyłaby Bolesławowi Kowalskiemu dawna ojczyzna. Siedziałby na łaskawym chlebie ojców; potem rodzeństwa, a nawet najserdeczniejszy kawałek, z łaski dany, dobry nie jest. W gardle staje. Człowiek ciężko w życiu dotknięty nie ma żadnych radości. Nie może się bez przewodnika obyć. Jest na niego skazany.

A Bolesław Kowalski? Władze ludowe skierowały go na kurs dla niewidomych, by nauczył się zawodu. Kurs skończył. Pracuje dzisiaj w Stomilu. I teraz popatrzcie, jak się jego życie potoczyło. Nie zarabia złotych gór, ale zarobki pozwalają żyć spokojnie. Ma pracę i jej stałość zapewniają. To daje odwagę ociemniałemu. Ożenił się. Jego żona również ociemniała. Mają już dzieci.

Bolesław Kowalski jest potrzebny. Można nawet powiedzieć niezbędnym. W Stomilu należy do najlepszych robotników, w domu jest ojcem rodziny, na którego zarobek można liczyć. Jest przecież przodownikiem pracy. Oczywiście wybrano dla niego taki rodzaj zajęcia, by brak wzroku mógł nadrobić wyrobiony nad podziw zmysł dotyku. Ale wyobraźcie sobie: żaden normalnie widzący robotnik w jego dziale nie daje rady Kowalskiemu. Jest wśród sześćdziesięciu najlepszych. Dlatego został wybrany delegatem na Złot. Nikt z załogi nie miał wątpliwości co do tej kandydatury.

Niewidomy przodownik cieszy się z tego wyróżnienia.

— Nie zobaczę wszystkiego, ale będę czuł. Tam będzie przecież wielka gromada ludzi — mówi.

Gromada młodych. Będzie ich dwieście tysięcy. Najlepszyc

pośród młodzieży. Niewidomy przodownik Stomila wśród nich. Czy nie jest to obraz kontrastu z tym, co było niegdyś — daniem prawdziwej godności ludzkiej człowiekowi doświadczonemu przez los? Dawniej łaska — dzisiaj prawo do pracy, do opieki, do prawdziwego życia. Trudno wyobrazić sobie przed wojną młodego niewidomego, który by się śmiało porwał z decyzją założenia rodziny i wzięcia jej ciężaru na swe barki. Nas to już nie dziwi. Cieszymy się z tego, bo nasz ustrój daje szansę każdemu, ludzi słabych bierze w opiekę, by mogli nabrać samodzielnych, czasem wielkich sił. Taki jest humanistyczny sens wydelegowania przez załogę Stomila Bolesława Kowalskiego na Złot do Warszawy.

Weźmie któryś z młodych robotników niewidomego towarzysza pracy pod rękę i będą razem szli w pochodzie ulicami Warszawy, która jest coraz piękniejsza. Bolesław Kowalski nie będzie jej widział. Kąkolowe ziarno wojny zabrało mu wzrok, ale ociemniały przodownik pracy wie, kto wybuchające w polu ziarna sieje, i gdzie kłosa rodzą życie i pokój. Jest bojownikiem sprawy budownictwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.



Z lewej Władysław Górka, z prawej Czesław Czyż

Grzebił Dawaj tego „trupca” — krzyczy stojący na dziedzińcu PZNS w wyswieconym oliwą kombinezonie młody człowiek. Przed halą warsztatów naprawczych zajeżdża Willys. Cichnie warkot silnika. Nazwany Grzesiem wyskakuje z auta. Nad motorem stoi już pochyłony monter.

— To jest właśnie Czesław Czyż — podpowiada nam stojący u wejścia fabryki strażnik. Poznać go można zresztą i bez suflera. Duże jego zdjęcie widzimy w gablocie przodowników pracy.

Dziesiątka Czyża zasłużyła na „piątkę”. Nie tylko zresztą za osiągnięcia przedzłotowe. Całoroczna praca tej brygady, to też jeszcze nie wszystko, a przecież od kilku miesięcy wykonują ponad 360% normy. Zarówno monterzy, jak i szkoleni w brygadzie uczniowie.

— Są zgrani jak najlepsza drużyna sportowa — mówią w warsztatach o dziesiątce Czyża. Młody brygadzysta — zetempowiec — jest, jeśli się już trzymać sportowej terminologii „kapitanem” tej drużyny. Młody, przewyższając innych swoim doświadczeniem zawodowym i niezwykłą, serdeczną wprost życzliwością w stosunku do wszystkich kolegów.

Za pracę i postawę spotkał go nagroda, największa — ja-

ka go mogła spotkać. Czesław Czyż został przyjęty jako kandydat do partii. A potem jeszcze jedno. Czesław na zebraniu załogi młodzieżowcy wybrał delegatem na Złot. Dużo radości i dużo zaszczytów. Kiedy Czesław Czyż wyróżniony w ten sposób uświadomił sobie, że znowu raz zobaczy Warszawę, nie wytrzymał i prawie biegiem po zebraniu popędził do domu. Było to w poniedziałek. Następnego dnia w warsztacie z dumą witała swego brygadzystę pozostała dziesiątka. Cieszyli się razem z nim. Niektórzy nigdy nie byli jeszcze w stolicy. On pojedzie, musi im zdać dokładne relacje.

— Ty, Czesiek, a może być tak ołówek i notes zabrał! Masz coś nie spamiętać, zapisz sobie lepiej — zauważył osiemnastoletni Stefan Balcerek.

Czyż ubawiony uwagą młodego rzucił mu niby obrażone spojrzenie. Ale Balcerek nie zrejtował.

— Poważnie mówię. Przecież na przykład Władek nie był nigdy jeszcze w Warszawie. Musisz dokładnie wszystko opowiedzieć. Jaka jest Warszawa, jak tam jest na tym MDM.

Czyż spoważniał. — Te! Władek! To ty naprawdę nigdy jeszcze nie byłeś w Warszawie?

— Nigdy — odpowiedział zastępca brygadzysty Władysław Górka.

Rozmowa się urwała. W przerwie obiadowej, kiedy jak zwykle gromadnie siedzieli na maskach samochodowych i ustawionych rzędem ławach, brygadzysta przepadł. Wrócił, gdy zaczęli pracę. Wsunął się do hali poważny, ale zadowolony. Pod koniec zmiany zaczął już nawet cicho pogwizdywać.

Skończył ostatniego „trupca”, który następnego dnia jako wóz wyremontowany opuścił warsztaty. Całą dziesiątkę wyszli na dziedziniec. Przy wyjściu z fabryki czekał na nich Bieliński.

Bieliński jest sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej.

— Czekajcie chłopcy. Mam do was ważną sprawę. Wasz brygadzysta został wybrany delegatem na Złot. Było to wyróżnienie nie tylko jego, a waszej brygady „no i dowód zaufania wszystkich kolegów do dziesiątki. Wybór był słuszny”.

Sekretarz spojrział na Czesława.

— Wasz brygadzysta przyszedł dziś do mnie — ciągnął dalej Bieliński — i mówi: Górka jeszcze nie był w Warszawie. Niech on za mnie pojedzie. Jest przecież nie gorszym pracownikiem warsztatów.

Górka zdumiał się. — Czego Czesiek...? Nie chcesz jechać?

— Wiesz. Chciałbym jechać, ale ja już widziałem Warszawę. Byłem nawet wtedy, gdy trasę W—Z otwierali. To popatrzysz sobie, jak te warszawskie murarze postawili MDM, a potem wszystko opowiesz. Dobra?

Chłopaki z brygady śmiejąc się szli ulicą, chwyciwszy się pod ręce. Zaczęli nawet coś śpiewać, aż się przechodnie ul. Sikorskiego za nimi oglądali. Ale taka już jest brygada Czesława Czyża.

Aspirant naukowy

Zbyszek Szumowski w czasie wojny różne przeżywał koleje. Okupacyjne lata rzucały go to tu, to tam. Kilkunastoletni chłopak szukał właściwej drogi. Przesadziłibyśmy mówiąc, że ją wówczas znalazł. Niełatwe to było zadanie dla wielu bardziej od niego dojrzałych ludzi. Środowisko inteligentne nie dawało przecież jasnych życiowych wskazań, choć może rodzina Zbyszka należała w pewnym sensie do wyjątków. Gorący patriotyzm, demokratyczne przekonania, choć chyba nie rewolucyjne — oto co wyniosł z domu.

Ala i to było dużo. W 1945 roku dzisiejszy aspirant nauk historycznych wstąpił do Związku Walki Młodych. Rychno nawet stał się jego aktywistą. Później ochotniczo zgłosił się do służby wojskowej. W wojsku zdał maturę, umożliwiono mu naukę. Świeży umysł chłonał wiedzę jak gąbka. Były to wiadomości wojskowe, polityczne, historyczne, podstawy filozofii marksistowskiej. Wtedy właśnie, w wojsku, nabrał Zbyszek rzetelnego rozpędu do nauki.

Po zdemobilizowaniu wstąpił na uniwersytet. Pociągała go historia. Dzieje kraju, klas — szukanie przyczyn klęsk i zwycięstw narodu.

— Jest w tej nauce coś z poezji — mówi młody naukowiec. — Odżywiają w wyobraźni dawni ludzie, sceny z bitew, rewolucji, starć i konfliktów klasowych. Często stoi historyk przed starym dokumentem stwierdzającym goły fakt. Cóż to za przyjemność szukać jego przyczyn powiązań, motorów działań

klas, narodów, państw. Lubie swą naukę. Ciekawi mnie szukanie przyczyn, które pchały masy ludzkie do walki o wolność. Czasem trzeba nawet starać się odtworzyć myśl każdego człowieka, które nim musiały kierować, gdy brał udział w starciu rewolucyjnym.

Nauka historii to wielka rzecz. Uczy ona narody tradycji swej ojczyzny. Pokazuje gdzie wiodł nurt postępowy, zrazu jak strumyk źródłany, potem coraz szerszy, by w naszych czasach wypłynąć rzeką szeroką, potężną. Taka nauka może porwać. Zbyszek zaczął więc studiować historię na Uniwersytecie Poznańskim, potem został asystentem wolontariuszem, młodszy asystentem, a teraz uzyskał aspiranturę naukową. Przygotowywał pracę, by otrzymać stopień „kandydata nauk historycznych”. Nie powiemy banału wyrażając przekonanie, iż Zbyszek stopień ten osiągnie. Za nim i przed nim jest rzetelna praca.

Praca naukowa nie odciągała go od organizacji zetempowskiej. Jest do dziś aktywistą Zarządu Wojewódzkiego ZMP i organizacji uniwersyteckiej. Można więc powiedzieć, że znalazł drogę: prostą, jasną, wytyczoną przez klasę robotniczą. Jej zresztą walce o sprawiedliwość społeczną poświęca swe siły. Nawet temat pracy naukowej dotyczy historii ruchu robotniczego. Konkretnie: Wielkopolsce w okresie między 1908 — 1918.

Taki oto młody pracownik naukowy jedzie na Złot warszawski razem z przodownikami pracy poznańskich fabryk i szkół.

Zetempowiec z cegielni

Nie odległe to czasy, w których Heniek Jurdziński pracował na 75 morgowym gospodarstwie bogacza wiejskiego w powiecie gnieźnieńskim. Ciężko harując od świtu do nocy chłopak zahukany i głodzony z żalem myślał o lepszym życiu, o pracy dla siebie.

Skierowany przez faszystów niemieckich na służbę do „grossbauera” wegetował przez długie lata okupacji w najgorszych warunkach. Wyzwolenie zastało go trzytnastoletnim parobkiem. Wyzwolenie kraju niewiele jednak zmieniło w życiu chłopaka, który przecież spraw społecznych i wielkich rzeczy dokonywających się w kraju nie był świadomy. Z wyzysku „grossbauera” wpadł w wyżysk kuliaka, a ten wykorzystywał naiwność młodocianego parobka.

Wiele nowego rodziło się we wsi. Młodzież zaczęła się organizować. Chłopcy poczęli grywać w piłkę. Wszystko to ciągnęło chłopca, ale nie mógł po to sięgnąć. W poprzek jego drogi stał jego pan gospodarz. A temu przecież nie podobały się młodzieżowe organizacje. Ani ZWM, ani nawet Wici.

Z wiekiem nabrał Heniek Jurdziński rozumu. Pomogła mu w tym zresztą organizacja zetempowska. Wydostał się z kuliackiego gospodarstwa i wyruszył z brygadą SP na Śląsk. Przez rok pracował w kopalni im. Maurice Thoreza. Był to rok przełomowy w życiu Henryka.

— Między górnikami zacząłem wszystko lepiej rozumieć — mówi, wspominając z dumą pracę w kopalni.

Tak było.

Gdy wrócił do Poznania, by odszukać opiekunkę (trzeba

wiedzieć, że Jurdziński jest sierotą od małego dziecka), która od pierwszych dni jego życia przysparzała go jako sierotę do siebie, Jurdziński, nie tracąc żadnego dnia rozpoczął pracę w cegielni. O jego przybyciu do świerczewskiej cegielni opowiadają przekrzykując się wzajemnie jego towarzysze.

— Koło ZMP u nas było, to prawda, ale robota leżała na całemu. Jurdziński przewrwał sen naszej organizacji. Koło ZMP się wzmocniło, a i cegielń zaczęliśmy więcej robić. Wzieliśmy się wszyscy w garść mocno.

— A współzawodnictwo się nie zaczęło? — wtrącił któryś. — Też wszystko ruszyło. Organizacja zetempowska to ważna rzecz.

— Na część Złotu wykonaliśmy dodatkowo ponad sto tysięcy cegieł — dodaje Kazimierz Brembor.

Czterech z tej cegielni pojedzie na Złot. Pojadą z mel. dulkami produkcyjnymi. W Warszawie powiedzą o nowych kołach ZMP założonych przez siebie w sąsiednich cegielniach poznańskich, o tym wreszcie, że wyrabiając cegły chłopcy ze świerczewskiej cegielni myślą o tym, by z ich cegieł budowała się także Warszawa.

— Cieszymy się, że będziemy mogli pokazać w Warszawie, jak my naszą ludową ojczyznę kochamy — mówi Jurdziński. — Sam na sobie doświadczyłem wyzysku. Nie dał mi kuliak iść w górę. Cóż mogę powiedzieć? Wdzięczny jestem, że pomogła mi Polska Ludowa i nasza rodzina, organizacja zetempowska, bym zaczął inaczej żyć. Jak wolny człowiek.

— Cóż Czesiek...? Nie chcesz jechać?